

INSPEKCJA

Napisał: Andrzej Stoff

Ilustrował: Cyprian Kościelniak

Wszystko zaczęło się tak, jak wcześniej uzgodniono.

Kiedy helikopter wiozący senatora wylądował na niewielkim trawniku pomiędzy budynkami, na spotkanie dostojnika wyszła niewielka grupka osób w mundurach. Ich powitalne gesty, ich twarze i zachowanie świadczyły o wadze, jaką przykładali do należytego przebiegu inspekcji, i o nadziejach, jakie z nią wiązali. Przedstawieni przybyszowi przez odpowiedzialnego za bezpieczeństwo całej instytucji szefa kontrwywiadu czekali w napięciu, kiedy zostaną dopuszczeni do głosu. Każdy z nich, a byli to wyłącznie kierownicy poszczególnych wydziałów i innych jednostek badawczych, szykował się do przedstawienia w jak najkorzystniejszym świetle prac prowadzonych w podległej mu placówce. Chodziło przecież o przydział nowych funduszy, a może i etatów.

Otoczony mundurową świtą, której z dala towarzyszyło kilku uzbrojonych strażników, prowadzony przez szefa kontrwywiadu, senator bez zwłoki rozpoczął zwiedzanie ośrodka. Ta gorliwość została należycie oceniona przez zainteresowanych: w ich oczach nadzieje na dalszy rozwój badań wzrosły. O wrażenie, jakie miały wyrzucić ich plany, byli spokojni. Poświęcali im przecież całą swoją pomysłowość, każdą myśl i większość czasu spędzanego tutaj. Troską napawały ich przede wszystkim finansowe możliwości praktycznego zrealizowania opracowanych tu teoretycznie pomysłów. Od przychylności, a co za tym idzie,

pozytywnej konkluzji sprawozdania wizytującego ich senatora, członka komisji finansowej, zależało bardzo wiele.

Na Wydziale Operacji Planetarnych głównym momentem była projekcja filmu animowanego, przedstawiającego przebieg operacji pod kryptonimem „Lancet”. Usadowiony na honorowym miejscu, w pobliżu bacznie obserwujących go pracowników Instytutu wysłuchał towarzyszącego filmowi komentarza. Film był bowiem niemy. „Z powodu oszczędności budżetowych” – zażartował ktoś w ciemnościach zalegających salkę projekcyjną.

Oto na ekranie miarowo wiruje planeta. Z przestrzeni kosmicznej nadlatuje ku niej pojedynczy statek. Wygląda na to, że chciałby lądować, ale w ostatniej chwili, zamiast rozpocząć hamowanie przed wejściem w korytarz atmosferyczny nad wyznaczonym kosmodromem, statek zwiększa raptownie prędkość i przechodzi na trajektorię ucieczki. Wtedy właśnie tryska z niego w kierunku planety snop skondensowanej energii. Uderzenie jest tak silne, że nie tylko rozpala na swej drodze atmosferę i zmiata wszystko, co znajduje się na powierzchni globu, ale w niebywałym kataklizmie rozrywa wierzchnie warstwy skorupy planetarnej. Już po chwili spod gigantycznych, obejmujących całą półkulę kłębow pyłu i pary z wrzących mórz, błyska purpurowe piekło obnażonego wnętrza planety... Film kończą ujęcia z dalekiej perspektywy, zapewne z odległości, w jakiej znajdują się w tym

czasie uciekający napastnicy. Planeta zachowuje się jak piłka, z której wypuszczono powietrze. Po pewnym czasie jej miejsce w przestrzeni zajmuje już nieforemny obłok materii, rozpełzającej się wzdłuż linii sił.

Już po zakończeniu, projekcji komentator dopowiada ostatnie uwagi. Planowanie operacji „Lancet” opierało się na założeniu, że przy dostatecznie silnym impulsie uderzenia można zniszczyć raz na zawsze planetę przeciwnika. Zasadniczą rolę spełnia w tej operacji urządzenie quasi-laserowe o potężnej mocy. Ze względu na wystarczająco długi czas trwania impulsu niszczącego istnieje nie tylko możliwość ataku punktowego, który to wariant rozważano pierwotnie, ale także cięcia przez całą planetę, najlepiej południkowego. Konieczna jest energia zdolna utorować drogę przez wierzchnie warstwy skorupy planetarnej do płynnego jądra planety. Wtedy można już pozostawić resztę naturalnym prawom i siłom przyrody. Dla atakowanego tą bronią globu nie istnieje żadna możliwość ratunku...

Senator zorientował się z ciszy, jaką zapadła po tych wyjaśnieniach, że zebrani oczekują jakiejś reakcji z jego strony, chcą, by ujawnił, jakie wrażenie wywarł na nim projekt „Lancet”.

Zachowując absolutny spokój ograniczył się jedynie do pytania:

– Czy istnieją urządzenia zdolne do wyprodukowania potrzebnej ilości energii w ciągu kilku, a najwyżej kilkunastu sekund?

– Niestety, nie. – W głosie odpowiadającego kierownika Wydziału zabrzmiała nuta niepokoju.

– A czy gdyby udało się wyprodukować potrzebne urządzenie, mogłoby ono być zainstalowane na pokładzie obiektu kosmicznego?

– Nie, ponieważ...

– Dziękuję, to wszystko.

Ale zapytany nie zważając na to dokończył:

– Nie, ponieważ współczesna technika rakietowa nie dysponuje jeszcze takimi możliwościami. Co innego w przyszłości, kiedy zostaną opracowane znacznie doskonalsze systemy transportu kosmicznego.

Kierownik wydziału odzyskał już pewność siebie i mówił swobodnie i stanowczo. Jego

placówka zapewnia opracowanie koncepcyjne, szczególnie techniczne należą już do specjalistów poszczególnych dziedzin. Poinformował też o rezultatach poszukiwań odpowiednich danych w literaturze fachowej i konsultacjach z najsłynniejszymi ośrodkami naukowymi. Wprawdzie nie ma jeszcze technicznych możliwości skonstruowania przewidzianych przez projekt „Lancet” urządzeń, nie znaczy to jednak, by należało zrezygnować z dalszych studiów z myślą o przyszłości i potencjalnych konkurentach.

Później zabrał głos inny specjalista. Film zastąpiły przezrocza. Pierwsze ukazywało schemat jakiegoś układu planetarnego, nie był to w każdym razie Układ Słoneczny, następne, w znacznym przybliżeniu, gwiazdę centralną.

– Odmianą operacji „Lancet” jest projekt „Nova”. Jego wykonanie przewiduje się w sytuacji, gdy obca i nieprzychylna nam cywilizacja obejmuje nie jedną planetę, lecz kilka, a nawet zasiedla cały układ. Dysponując urządzeniami, jakie zostały opisane poprzednio, można zakłócić równowagę grawitacyjną gwiazdy, doprowadzić do jej wybuchu...

Mówiący przerwał, a na kolejnych przezroczach widać było strzelające z tarczy słonecznej protuberancje, a później stopniową deformację gwiazdy, aż do momentu wybuchu.

– Stopniowo, ale w sposób niemożliwy do powstrzymania i nie dający też najmniejszych nawet szans ucieczki przy pomocy statków kosmicznych, rozbiegająca się niezwykle gorąca materia gwiazdy ogarnie wszystkie planety i ich księżyce. Bliższe ulegną całkowitemu zniszczeniu, dalsze wybuch spustoszy tak straszliwie, że już nigdy w układzie tym nie będzie mogło rozwijać się życie w jakiegokolwiek formie. Do realizacji tego zadania potrzebny jest statek, który po skrytym podejściu na bliską odległość do gwiazdy byłby w stanie uciec przed jej eksplozją po wysłaniu niszczącego impulsu, albo tak silne źródło energii, by uderzenie mogło nastąpić spoza orbity najodleglejszej planety tego układu. Nikt z nas, opracowujących ten projekt, nie żywi najmniejszej wątpliwości, że rozwój nauki i techniki odda do naszej dyspozycji, prędzej lub później, potrzebne środki.

Już podczas kończącej wystąpienie patetycznej deklaracji na sali rozległy się szmery rozmów. Zebrani byli zaskoczeni tą propozycją na równi z wizytującym. Projekt „Nova” został bowiem opracowany dopiero niedawno, i to w najściślejszej tajemnicy. Wtajemniczeni wiedzieli, że chodziło głównie o wywarcie na senatorze silnego wrażenia.

Już w drodze do kolejnego budynku senator musiał wysłuchiwać danych liczbowych: zależności mocy impulsu od odległości, wielkości i składu atmosfery i wielu innych, którymi usłużni pracownicy Wydziału Operacji Planetarnych karmili go szeleszcząc arkuszami obliczeń. Na Wydziale Taktyki operacji Kosmicznych wprowadzono wszystkich do niewielkiej sali, a na katedrze zajął miejsce najbardziej błyskotliwy – jak przedstawiono go wizytującemu – z pracujących na wydziale ekspertów. Zanosilo się na dłuższy wykład. Senator obejrzał się do tyłu w poszukiwaniu szefa kontrwywiadu. Ten stał tuż przy drzwiach z założonymi na piersi rękami, opierając się o ścianę w dziwnie niewojskowej pozie.

Tymczasem z katedry padały słowa przekonujące o konieczności upodobnienia wszystkich działań bojowych w Kosmosie do naturalnych praw fizyki i zjawisk przyrody. Tradycyjne metody walki i techniki uzbrojenia pozwalały co najwyżej zniszczyć pojedynczy, mały obiekt przeciwnika, obezwładnić chwilowo jakąś odosobnioną placówkę. Należało je zachować, co najwyżej, do ograniczonych działań na powierzchni poszczególnych planet. Do uderzeń rozstrzygających należało zaprząć zupełnie nowe techniki i metody działania. Do podstawowych warunków skuteczności ataku mówiący zaliczył zdolność do szybkiego przenoszenia się na znaczne odległości oraz skuteczny kamuflaż we wszystkich zakresach promieniowania, łącznie z optycznym, umożliwiający skryte podejście do dowolnego obiektu. Jako przykład przewyżczenia tradycyjnego stylu myśli wojennej wykładowca podał projekt „świdra termojądrowego” opracowany swego czasu w Instytucie. Projekt ten był jakby pierwszą wersją operacji „Lancet”, przy czym jego realizację powierzono jeszcze pochopnie tradycyjnej technice. Operacja miała

bowiem polegać na wstrzeleniu z orbity w powierzchnię planety serii rakiet z głowicami termojądrowymi, których eksplozje, następujące jedna po drugiej, miały przebić skorupę i utorować drogę wrzącej magmie. Szybko jednak uświadomiono sobie techniczną naiwność pomysłu. Mówiący pozwolił sobie nawet na ironiczny ton, gdy wyśmiewał złudzenia związane swego czasu z tym projektem.

Po wykładzie wywiązała się dyskusja. Senator jednak nie słuchał. Uświadomił sobie, że to, z czym zetknął się w Instytucie, przypomina najbardziej krwiożercze pomysły trzeciorzędnej literatury fantastyczno-naukowej i perwersyjnie, bo pod kątem użyteczności w dziele zniszczenia, dobrane fragmenty podręczników fizyki, astronomii, chemii i biologii.

Inspekcja trwała. Wizytujący i jego świta przechodzili z jednego sektora do drugiego, odwiedzali kolejne budynki.

Na Wydziale Operacji Pośrednich gościa zapoznano z projektem „Księżyc”, który przewidywał strącenie naturalnego satelity na powierzchnię wrogiej planety. Odbyć się to miało wskutek wyhamowania ruchu orbitalnego księżycza przez zamontowane na nim w tajemnicy odpowiednio wydajnych silników rakietowych – jeżeli rozwój wydarzeń zostawiał na to dość czasu, bądź przez dokonanie w odpowiednich miejscach i czasie eksplozji ładunków atomowych – jeżeli czasu do decydującej rozgrywki pozostawało niewiele. Z kolei projekt „Meteor” przewidywał wykorzystanie strumienia meteorów dla skażenia planety zamieszkałej przez nieprzyjazną cywilizację. Można było tego dokonać przez dostarczenie za ich pośrednictwem na powierzchnię globu odpowiednio silnych trucizn albo substancji chemicznych zmieniających powoli, lecz nieuchronnie przebieg procesów biochemicznych. Myślano nawet o minirakietach zakamuflowanych pod postacią roju meteorów, jako o środku jeszcze bardziej skutecznym. A jakby te wszystkie pomysły były nie dość wyrafinowane, mówiono jeszcze o wywoływaniu, przez oddziaływanie chemiczne, bądź grawitacyjne, gigantycznych zakłóceń atmosfer planetarnych. Szczególną przydatność tych metod wi-

dziano w działaniach zmierzających do powstrzymania ekspansji przeciwnika na układy, które chwilowo nie mogły być przez naszą stronę ani bronione, ani wykorzystane. Zdaniem referentów nadawały się one także do niszczenia zaplecza wrogiej cywilizacji.

Senator czuł się przytłoczony tą ilością niszczycielskich pomysłów. Zadowolenie na twarzach tych, którzy go słyszeli, wywołała jego, wypowiedziana półgłosem uwaga, że to, z czym go zapoznano, przekracza najśmielsze oczekiwania. A to jeszcze nie był koniec inspekcji.

Na Wydziale Oddziaływań Łagodnych zapoznano gościa z szerokim wachlarzem zabiegów represyjnych, jakie mogły być podjęte w stosunku do cywilizacji o wyraźnie niższym zaawansowaniu technicznym, z których strony nie groziło nam bezpośrednio niebezpieczeństwo. Zresztą podobnie można było postąpić z tymi, których planety były potrzebne jako zaplecze surowcowe, bądź dogodne obiekty strategiczne. Oddziaływanie na pogodę, na przykład powodowanie uporczywych deszczów w czasie zbioru plonów, lokalne pożary wzniecane przy pomocy luster satelitarnych, wywoływanie tajfunów i lokalnych trzęsień ziemi, wreszcie represyjne bombardowanie wybranych, to znaczy cennych dla danej cywilizacji, obiektów – wszystko to wyglądało wręcz łagodnie w porównaniu z apokaliptycznymi obrazami zastosowania radykalnych środków zniszczenia, z którymi zapoznano senatora poprzednio.

A pozostał jeszcze przecież Wydział Dywersji, z którego zwiedzania senator zapamiętał przede wszystkim „Strzałę Śmierci”. Pod kryptonimem tym prowadzono prace nad niewykrywalnym obiektem o niewielkich rozmiarach, który, pozostawiany na trasach przelotu obcych statków, na orbitach planet zajętych przez nieprzyjaciela, czy nawet zrzucany z własnych rakiet uchodzących przed pościgiem, zdolny byłby zniszczyć statki przeciwnika.

Podczas dalszego zwiedzania Instytutu zapoznał się z Wydziałem Taktyki Informacyjnej, który pracował nad selekcją informacji o Ziemi. Chodziło o to, które z nich należy

bezwzględnie zataić, nawet przed kosmicznym sojusznikiem, które świadomie deformować i w jaki sposób, by wyciągnąć z tego jak największe korzyści, a które wreszcie można upowszechniać bez obaw. Senator od początku swej wizyty tutaj czuł atmosferę wzajemnego braku zaufania, podejrzliwości, stale widział przejawy kultu tajemnicy wojskowej, ale na tym wydziale obsesja wywiadu i kontrwywiadu na skalę kosmiczną przybrała rozmiary monstrialne. Zapamiętał, na przykład, że w jednej z sekcji pracowano nad katalogiem dzieł sztuki, które z różnych powodów nie powinny być udostępnione obcoplanetarnym cywilizacjom. W innej sekcji natomiast badano możliwość przekazywania wiadomości o charakterze strategicznym za pomocą utworów muzycznych...

Na zakończenie zachowano Wydział Zastosań Science-Fiction. Oprowadzający z dumą podkreślali zasługi tej placówki. Otóż, dziewięćdziesiąt procent opracowanych przez Instytut projektów tu miało swój początek. Podstawą poszukiwań były wszechstronne katalogi wynalazków technicznych, cywilizacji kosmicznych, form kontaktu uwzględniających całą literaturę fantastyczno-naukową. Głównym zajęciem pracowników wydziału była systematyczna lektura wszystkich nowości, sprawdzanie oryginalności pomysłów i opracowywanie tych, których nie rejestrowały olbrzymie katalogi. Wszędzie wałały się stopy tomów w barwnych, przyciągających wzrok okładkach.

Później, z pewnym wahaniem, zaproszono senatora do sali, gdzie czekały już lampki wina i słone ciasteczka, który to – symboliczny, jak podkreślano – poczęstunek, zakupiono za pieniądze składkowe, by nie uszczuplać funduszy Instytutu. Wzniesiono toast: „Po krańce Wszechświata!” Od chwili swego przylotu tutaj senator widział te słowa wszędzie, na każdym budynku, na korytarzach, w pracowniach. Jeszcze trzymając kieliszek popatrzył uważnie na twarze zgromadzonych wokół niego pracowników Instytutu. Były to surowe, poważne twarze ludzi przekonanych o znaczeniu misji (bo pracę tu traktowali jak misję!) i zdecydowanych na wszystko.



Formalnie inspekcja była skończona. Przed budynkiem tworzyły się grupy rozmawiających. Oficjalnego pożegnania nie przewidywano, tym bardziej że senator miał jeszcze zapoznać się z systemem ochrony Instytutu. Nim jednak odszedł z szefem kontrwywiadu, zwrócił się do stojących najbliżej z pytaniem, czy nie mają jakichś uwag albo życzeń w związku z warunkami życia w tej odciętej od świata placówce.

Reakcja była spontaniczna. Nie, skądże! Przecież wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że nie znajdują się na wakacjach, tylko pracują w instytucji, której charakter wymaga wielu ograniczeń i świadomych wyrzeczeń. Skłonni są ponieść pewne ofiary, byle tylko ich praca przybrała jak najprędzej konkretne kształty.

Senator pokiwał głową, co zebrani przyjęli za wyraz uznania, popatrzył w stronę jednakowych, przysadzistych, szarych budynków i pożegnał się.

Blok, do którego prowadził go szef kontrwywiadu, nie wyróżniał się niczym spośród innych. Wartownik na ich widok przyjął postawę zasadniczą, ale w jego wzroku igrał, nie licujący zupełnie z funkcją, błysk wesołości. Weszli przez masywne drzwi nad którymi sporych rozmiarów tablica głosiła:

Ośrodek Planowania Strategicznego „K”
Instytut Studiów Wojenno-Kosmicznych
Oddział Specjalny

W gabinecie, do którego przeszli pustym korytarzem, panował, mimo południa pół-

mrok. Nastrój ten pogłębiała jeszcze kolorystyka wnętrza i mebli. Pierwszy odezwał się senator. Mówił wolno, jakby w zamyśleniu:

– Tak, to, co tu widziałem, rzeczywiście wystarczy...

Jego rozmówca zdjął tymczasem kurtkę munduru i przerzucił ją przez poręcz krzesła.

– Przepraszam, ale nie mogę już dłużej wytrzymać w tym stroju. Nie jest on najwygodniejszy.

– Dobrze pana rozumiem.

– Wracajmy jednak do rzeczy. Czy fundusze dla naszej placówki nie zostaną cofnięte po ostatnich zarządzeniach oszczędnościowych?

– Mam nadzieję, że nie. Zresztą moja opinia będzie jednoznaczna. Oszczędność w tym przypadku byłaby nierozsądna, a może nawet i niebezpieczna. Interesuje mnie jednak, czy stosowane dotychczas środki zapobiegające przeciekowi informacji zdały egzamin?

– Dotychczas nie mieliśmy ani jednej próby przemycenia najbliższej nawet informacji na zewnątrz czy nawiązania kontaktu z kimś spoza naszej placówki. Wynika to przede wszystkim z rzeczywistego zaangażowania pracujących tu ludzi. Przychodząc tutaj zerwali oni najczęściej wszystkie kontakty łączące ich z normalnym życiem. Tylko nieliczni prowadzą prywatną korespondencję z najbliższą rodziną. Dopóki będą czuli, że są potrzebni, więcej, że ktoś liczy na nich, będą lojalni. Są całkowicie pochłonięci pracą. Jest to typowy przykład monomanii...

– A inni ludzie o podobnych zainteresowaniach pozostający poza zasięgiem tej placówki?

– Staramy się wyławić ich jak najprędzej. Skoro tylko uzyskamy informację o kimś zdradzającym tego rodzaju zainteresowania, nawiązujemy z nim kontakt, podajemy obserwacji i w uzasadnionych przypadkach kierujemy tutaj. Zachowując oczywiście ścisłą tajemnicę.

– A czy nie było prób, podejmowanych także z zewnątrz, rozszyfrowania prawdziwego charakteru tej placówki?

– Nie. Dotychczas nie.

Senator podniósł się z fotela.

– Czas już na mnie. Cokolwiek się stanie, może pan na mnie polegać. Wierzę, że dalsze fundusze są potrzebne i postaram się o tym

przekonać innych członków Komisji Finansowej, nawet zwolenników najbardziej radykalnych oszczędności.

Uściśnił sobie dłonie.

– Może tędy... – Gospodarz włączył blokadę drzwi gabinetu i podszedł do szafy z książkami. Sięgnął gdzieś w bok i szafa z lekkim szelestem obróciła się o dziewięćdziesiąt stopni, odsłaniając przejście do sąsiedniego pomieszczenia.

– Jak pan widzi, senatorze, dysponujemy różnymi środkami zachowania tajemnicy – zażartował. – Proszę bardzo!

Przeszli przez skromnie urządzone pokój biurowy.

– Do widzenia, panie senatorze. Może to zabrzmia natrętnie, ale powtórzę raz jeszcze, że liczę na pana.

– Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy. Do widzenia!

Senator znalazł się na korytarzu malowanym jasną farbą. Jedne drzwi otworzyły się raptownie i młoda dziewczyna w białym kitlu przeszła szybko obrzucając go zdziwionym spojrzeniem. Szerokimi, staroświeckimi schodami, nie dotykając wyświeconej niezliczonymi tysiącami rąk poręczy, zszedł na dół. Portier, widocznie poinformowany o tym, kim jest, powiedział kłaniając się z trochę przesadnym szacunkiem: „Do widzenia panu”.

Stanął na progu. Osłepiło go jaskrawe słońce. Może dlatego nie zauważył nadlatującej piłki. Uderzenie wyrwało go z zadumy. Zdażył schwycić piłkę i rozejrzał się za sprawcą.

– Łobuzy! Robią sobie bramkę z drzwi. Nikogo nie uszanują!

Portier stał za nim i wygrażał zadyszanyemu chłopakom, którzy zatrzymali się opodal.

– Pan odda piłkę?! – W głosie pytającego prośba mieszała się z pewnością.

– Oczywiście. – Uśmiechnął się i rzucił piłkę, jak tylko mógł najsilniej, na plac po drugiej stronie ulicy.

Podjechał samochód. Wsiadając obejrzał się jeszcze na budynek, na którym widniała tablica:

Okręgowy Szpital Psychiatryczny
Oddział Zamknięty